

Adam Wiaryga-Minieski.

MAŁŻEŃSTWO WOJENNE.

Powieść z dni ostatnich.

6 — A ty czegoś się tak wystroiła? Kogóż to przyjmować będziesz?... Mogłaś się chyba mnie zapytać o zdanie. Ale ty także chcesz pewnie mieć swoją wolę!... Oto są dzieci, dla których się człowiek poświęca!...

Lola, zmieszana, zatrwożona, milczała... Dopiero po chwili ośmieliła się zapytać:

— Ja też chciałam zapytać mamusię, jakie poczynić przygotowania co do mieszkania dla...

— Co za przygotowania? Żadnych przygotowań! Wstawiło się łóżko do pokoju Konrada i koniec! Cóż to, księżniczka jakaś prejeżdża? Zamało elegancko, zamało wygodnie nie będzie dla panny Maliniewicz!

Panięskie nazwisko synowej wymówiła pani Żarnicka z nieopisanym wyrazem pogardy i nie-nawiści.

Lola nie uznała za stosowne protestować. Dodała tylko jeszcze, spoglądając na zegar.

— Ale to już czas. Za pół godziny przychodzi pociąg. Czy posłać Joasię po dorożkę?

— Po co?

— No, przecież chyba pojedziemy na kolej?

— Nie! Nie pojedziemy!

— Ani ja? Ani mamusia?

— Ani ja! Ani ty!

— Konradowi będzie przykro... — zauważyła cicho Lola.

Dziwna rzecz. Dotychczas dosyć chłodno odnosila się do brata, teraz współczuła z nim szczerze.

Twarcz pani Żarnickiej splonęła krwistym rumieńcem.

— Przykro mu będzie!... Właśnie chcę, żeby odczuł, na co zasługuje jego postępek!... I ta... ta... niech sobie nie wyobraża czasem, że będzie tutaj w domu moim jakąś odgrywała rolę!... O! ty nie wiesz, jaka ona jest!... Co to za ziółko!...

— Skoro się Konrad już z nią ożenił...

— Więc dlatego też pozwalam jej przestąpić mój próg!... Jeżeli jednak nie będzie się jej podobalo przyjęcie, to nie zatrzymuję...

— Ależ, mamu! To żona Konrada!

— E! Co tam takie „wojenne” małżeństwo, bez zapowiedzi... Jeszcze nie wiadomo, jak to będzie w przyszłości...

— No, to może posłać Joasię, żeby przynajmniej dla nich zamówiła dorożkę...

— Nikogo nie posyłać i nic nie zamawiać!... A teraz, dosyć już o tem!... Nie wtrącaj się do nieswoich rzeczy! Ty wogóle za często się teraz niepotrzebnie odzywasz!

Lola przycięła zębami dolną wargę. Ciemne oczy zamigotały żywiej, jakby gniewnie czy przekornie. Panienska nie odpowiedziała jednak ani słowa i cicho wyszła z pokoju.

— — — — —

— Hi, hi, hi! A to się „stara” wścieka, że mało ze złości nie pęknie! To ci jej synalek figlasa urządził! Hi, hi, hi!

— No co? no co? — pyta kucharka pani Żarnickiej, Magdzia, a małe, piwne jej oczy błyszczą ciekawością.

Pokojówka Joasia, zgrabna, przystojna, fertyczna dziewczyna śmieje się dalej — cicho, tajemniczo, a z nieopisanym zadowoleniem w wyrazie całej twarzy.

— To panna Magdalena nic nie wie?... A gdzie to panna Magdalena ma oczy i uszy? Hi, hi, hi!

— Nie wiem nic, jakem żywa! Gadajże panna Joasia!... Jak się panna kręci po pokojach, to prędzej coś posłyszysz, ale ja, cały dzień przy tych garnkach, żeby je pierońskie pokręciło!...

— Oj! Pokręci, pokręci! Ale chyba starą ze złości!... Żółć się w niej zapieczęło!... Wie panna Magdalena, gdzie młody pojechał?

— A gdzie?

— Zenić się!...

— I ona o to taka zła?... To nie po jej woli?

— A nie!... Przecie wyraźnie słyszałam przy „kolacyji” tego dnia, co młody stawał do „asynferunku”, jak mówił: Muszę, mamu, teraz ożenić się z Józią!...

— Cóż to za jedna ta Józia?

— A kto ją wie!... Tylko to wiem, że pie-

niędzy nie ma, więc się stara uparla: „nie i nie.” Perswadowała mu i tak i tak, i na jedną i na drugą stronę, i po złości i po dobroci, ale on się także uparł i powiada: „Koniecznie muszę się zenić”. No i nie pytający się „starej” pojechał, a dzisiaj zatelegrafował, że z żoną przyjeżdża!... Hi, hi, hi!... A to ci, jak w „tyjatrze”...

Magdzia z wielkiego wzruszenia i zainteresowania zaczyna głośno wycierać nos.

— To on tutaj tę żonę przywiezie?

— A gdzieżby ją wiozł? Ma to on swoje pomieszkanie, albo „posządę”, albo pieniądze? Przecie stara cały majątek w łapie trzyma!...

— No to ja pannie Joasi powiem, że ja tej synowej nie „zajdroszczę”... Urządzi ci jej stara słodkie życie, że no!...

— Będzie heca!... Hi, hi, hi!

— Pójdzie starej po nosie!...

— To go może przestanie tak zadzierać do góry, jakby ją Pan Bóg z innej gliny, niż nas ulepił. Wie panna Magdzia, słyszałam, bom ta odrobinę koło drzwi się kręciła, jak się jej Lola pytała: „podobno ta Józia bardzo ładna?” a stara na to: „to cóż, że ładna, to i nasza pokojówka Joasia — niby ja — ładna, a nie mogłaby być moją synową”. Także coś! Ona myśli, że jej synalek to straszny „specyjoł”! A czybym to ja chciała takiego, Panie Boże odpuść, cherlaka, co jak zmokła kura wygląda i o każdego centa matkę prosić musi!... To ci dopiero wielka parada!...

— Ma panna Joasia „recht”.

— A pewnie!

— — — — —

Gorączkowo, niecierpliwie, nerwowo rozgląda się Konrad Żarnicki po stacyi Łukowskiej. Upatruje kogoś z domu, ale napróżno. Niema nikogo: ani matki, ani Loli, ani nawet służącej. Widać tylko kilku funkcjonariuszów kolejowych, którzy kręcą się przed budynkiem stacyjnym.

Niezbýt liczni pasażerowie wyszli już.

Pomimo chłodnego wieczoru i ostrego wiatru krople potu występują Żarnickiemu na czole.

Ogarnia go nagle trwoga przed skutkami własnej lekkomyślności. Co będzie, jeżeli...

— To poczucie niebezpieczeństwa budzi w nim jednak energię i stanowczość. Nie! matka musi! Ona nie może!... Nie robi tego...

Z przymusowym trochę uśmiechem zwraca się Konrad do Józi, która wtuliła ręce w futrzany zarękawek i stoi spokojnie.

Nie pyta o nic, nie dziwi się niczemu, tylko głowa jej pochylała się nisko, jak u człowieka, dotkniętego ciężkim zmartwieniem. Wyrazu twarzy, osłoniętej dosyć gęstą woalką, nie można zaobserwować.

— Widocznie mama nie otrzymała jeszcze telegramu... — mówi Konrad i stara się wysiłkiem woli opanować lekkie drżenie głosu.

— Prawdopodobnie... — odpowiada młodzieńka mężatka spokojnie, ale jakoś bezdźwięcznie.

— Nic nie szkodzi... Poradźmy sobie i tak...

Żarnicki odnajduje wzrokiem posługacza kolejowego i wskazuje mu pakunki.

— Proszę to na „fiakra”...

— Proszę pana, teraz nima tak „fiaków” na zawołanie... To chyba skoczyć do rynku... i sprrowadzić...

— Proszę sprrowadzić...

Posługacz oddala się. Upływa długa chwila oczekiwania, podczas której młodzi małżonkowie nie mówią nic do siebie.

Każde z nich boi się tonem głosu zdradzić swoje wrażenia.

Wiatr dmie coraz silniej i zaczynają siec drobne krople deszczu...

Stacya jest pusta, w półmroku pogrążona i cicha... Słychać monotonne kołatanie dzwonek sygnalowych.

— Miły początek... — przebiega Józi myśl.

Nareszcie zjawia się posługacz.

— Jest fiaker...

— No, to proszę prędko brać rzeczy...

— — — — —

Kiedy Konrad dzwonił do bramy domu, Józia zdrząła tak silnie, że nogi się pod nią ugięły i musiała pochwycić ramię męża.

— Co ci to, Józieńko?... Słabo?... Zmęczona jesteś bardzo?...

— Nie, nic nic... To już przeszło... To takie chwilowe osłabienie...

— Jesteśmy już w domu!... Wypoczniesz sobie...

W domu!... Mimowoli cichutkie westchnienie dobywa się z piersi młodej pani Żarnickiej. Gdy-

byż to naprawdę wstępowali pod własny dach do swego domu, ale tak...

Otworzyła im bramę zaspana, otulona chustką stróżka. Na widok Konrada błysnęły żywiej jej oczy i spojrzeniem, pełnem ciekawości, obrzuciła Józię.

— A, to pan gospodarz!... Całuję rączki. I z młodą żonką!... Życzę szczęścia, zdrowia i wszelakiego powodzenia!... Żeby państwo jeszcze ze dwie kamienice takie pobudowali sobie i choć ze sześcioro dzieci w zdrowiu i pomyślności wychowali!... — wygłaszała z przymilającym, oblesnym uśmiechem swoje życzenia, uwiadomiona już przez Joasię o spodziewanem przybyciu młodej pary.

Konrad mimowoli uśmiechnął się i sięgnął do portmonetki.

— Dziękuję wam, Wincentowa. A nie wiecie czy... czy... mama moja jest w domu?

— A jakże! Pani gospodyni w domu i panienka także...

— Pozdejmujcie nasze rzeczy z dorożki i pozanoście na górę.

— Już, już w tej chwili...

Józia, wsparta na ramieniu męża, wstępowała na schody tak powoli, jakby jej sił brakowało.

Kiedy wreszcie Konrad wyciągnął rękę do dzwonka, miała ochotę zatrzymać go i zawołać:

— Czeka!... Nie dzwoń jeszcze, bo się boję...

Zawstydzila się jednak tej dziecinnej myśli i nic nie powiedziała. Nie przeczuwała, że Konradowi równie mocno i niespokojnie bije serce. Zadzwoń!

Po chwili słysząc szelest szybkich kroków i zgrzyt odsuwanej zatraski. Drzwi się otwierają, z przedpokoju bucha jasna fala światła. W progu stoi uśmiechnięta Joasia w świeżutkiej, jasnej bluzce, w czarnej spódnicy i białym fartuszu z szelkami.

A poza zgrabną pokojówką ukazuje się wyniosła, majestatyczna postać pani Żarnickiej.

Józi zdaje się, że serce jej w piersi zamiera. Mimowoli robi ruch taki, jakby się chciała cofnąć z powrotem ku schodom, ale Konrad chwyta żonę za rękę i pociąga ją naprzód.

— Mamu... Jesteśmy... Mamusiu, to moja żona!...

Józia czuje, że i ona coś powiedzieć powinna, ale nie może. W gardle jej zaschło.

Krótką chwilą duszącego oczekiwania. Potem pani Żarnicka lekko nachyla głowę i zimnemi ustami muska czoło synowej.

Józia sztywnie, jak automat, kloni się do jej ręki.

— Joasiu, pomóż się rozebrać młodszej pani!...

Joasia zaczyna zdejmować z Józi żakiet, a matka zwraca się ku synowi...

Wita go zupełnie inaczej, niż przed chwilą młodą jego żonę... Całuje go długo, serdecznie, bez słowa...

A Konrad tuli się do niej tak, jak wtedy, gdy był jeszcze małym chłopcem, zawołanym pieszczochem...

Jest uszczęśliwiony tem, że minęła pierwsza, najgorsza chwila, że matka przyjęła Józię i oszczędziła mu upokarzającej walki.

To też duszę ma przepelnioną wdzięcznością i matka wydaje mu się w tej chwili aniołem dobroci i przebaczenia.

— Mamusiu... — szepcze — Dziękuję... Jestem bardzo szczęśliwy... Ty ją pokochasz, moją Józię, prawda?...

Pani Żarnicka wypuściła wreszcie syna z swych objęć.

— Gdzież wasze rzeczy? — zapytała zwykłym, naturalnym, spokojnym tonem — Nikt was nie oczekiwał na kolei, bo telegrafowałeś niewyraźnie, Konradzie... Nie wiedzieliśmy, którym pociągiem...

Ta wymówka, przeznaczona zresztą wyłącznie dla Józi, nie złudziła Józi, ale uspokoiła już zupełnie Konrada. Był tak wzruszony, iż zapomniiał o tem, że do Łukowa z Krakowa przychodzi tylko jeden, wieczorny pociąg.

W sieni ukazała się Wincentowa, ciągnąc za sobą kufer. Joasia pospieszyła jej z pomocą.

Pani Żarnicka szybkim ironicznym spojrzeniem obrzuciła skromne pakunki synowej, przyniosła wzrok na skromniejszy jeszcze żakiet z kołnierzem z jakiegoś bardzo taniego futerka, zlustrowała nieznacznie buciki, suknię, zarękawek i usta jej drgnęły pogardliwie.

— Gdzie Lola, mamusiu? — zapytał Konrad.

— Jestem... jestem... — ozwał się głos siostry cieplejszym, niż zwykle, brzmieniem — Witam bratową... Przyjmijcie moje serdeczne życzenia...